

HENRI J.M. NOUWEN

Z płonącymi sercami

*Medytacja
o życiu eucharystycznym*

PRZEŁOŻYŁ

Stanisław Obirek

WYDAWNICTWO WAM

Opłakując nasze straty

Panie, zmiłuj się nad nami



Dwoje ludzi idzie razem. Już ze sposobu ich poruszania się można łatwo wywnioskować, że nie są szczęśliwi. Ich sylwetki są przygarbione, twarze pochylone ku ziemi, ruchy powolne. Nie patrzą na siebie. Od czasu do czasu burkną jakieś słowo, ale nie kierują tych słów do siebie. Giną one w powietrzu jak bezużyteczne dźwięki. Choć idą drogą, to robią wrażenie, jakby szli bez celu. Wracają do swoich domów, które nie są już ich domami. Oni po prostu nie mają dokąd iść. Dom stał się pustką, rozczarowaniem, rozpaczą.

Z trudem dociera do nich fakt, że to zaledwie kilka lat temu spotkali kogoś, kto zmienił ich życie; kogoś, kto radykalnie przerwał ich codzienną rutynę i wniósł nieznaną im wcześniej witalność w każdy zakątek ich istnienia. Opuścili swoją wioskę, poszli za tym obcym i jego przyjaciółmi i odkryli za zasłoną swojej

zwyczajnej codzienności zupełnie nową rzeczywistość – rzeczywistość, w której przebaczenie, uzdrowienie i miłość nie były już tylko pustymi słowami, ale mocą dotykającą samej istoty ich człowieczeństwa. Ten obcy z Nazaretu uczynił wszystko nowym. On uczynił z nich ludzi, dla których świat przestał być ciężarem, by stać się wezwaniem; przestał być polem minowym, by stać się otwartą przestrzenią pełną nieskończonych możliwości. On wniósł w ich codzienność radość i pokój. Uczynił ich życie tańcem!

A teraz umarł. Jego ciało promieniejące światłem zostało zniszczone rękami oprawców. Jego członki zostały zranione i przeorane narzędziami przemocy. Jego oczy stały się puste. Jego ręce straciły zdolność chwytania czegokolwiek, jego nogi zostały pozbawione mocy. Stał się jednym z nic nieznaczących ludzi. Wszystko zostało unicestwione. Stracili go. Zresztą nie tylko jego, ale wraz z nim i samych siebie. Energia, która wypełniała ich dnie i noce, opuściła ich całkowicie. Stali się dwiema całkowicie zagubionymi istotami ludzkimi idącymi w kierunku domu,

którego nie posiadają, powracającymi do czegoś, co stało się tylko smutnym wspomnieniem.

My sami przypominamy ich pod wieloma względami. Wszyscy znamy ten stan, gdy patrząc w głąb naszego istnienia, spotykamy nasze zagubienie. Czyż i my nie jesteśmy również zagubieni?

Jeśli jest jakieś słowo ujmujące w sposób zwięzły cały nasz ból, to jest to słowo „strata”. Straciliśmy tak dużo! Niekiedy wydaje się, że życie jest tylko serią kolejnych strat. Z chwilą urodzin utraciliśmy bezpieczne łono matki. Kiedy poszliśmy do szkoły, utraciliśmy bezpieczeństwo życia rodzinnego. Kiedy po raz pierwszy poszliśmy do pracy, utraciliśmy bez troskę młodości, a gdy ożeniliśmy się lub gdy zostaliśmy wyświęceni na kapłanów, utraciliśmy radość płynącą ze stojących przed nami wielu możliwości. Kiedy wreszcie postarzeliliśmy się, utraciliśmy nasz dobry wygląd, naszych starych przyjaciół albo sławę. Kiedy staliśmy się słabi albo chorzy, utraciliśmy naszą fizyczną niezależność, a z chwilą śmierci utracimy po prostu wszystko!

I owe straty są częścią naszego zwyczajnego życia! Ale czyż życie jest zwykłe? Te straty osadzające się w głębi naszych serc i umysłów to utrata bliskości z powodu oddalenia, utrata bezpieczeństwa z powodu przemocy, utrata niewinności z powodu nadużyć, utrata przyjaciół z powodu oszustwa, utrata miłości przez opuszczenie, utrata domu z powodu wojny, utrata dobrobytu z powodu głodu, gorąca, zimna, utrata dzieci z powodu choroby lub wypadku, utrata ojczyzny z powodu politycznych przewrotów, utrata życia z powodu trzęsienia ziemi, powodzi, katastrof lotniczych, bombardowań i epidemii.

Być może większości z nas wiele z tych strat zostało oszczędzonych; być może znane są nam z gazet i ekranów telewizyjnych, niemniej jednak nikt nie może uciec od dręczących strat będących częścią naszego codziennego doświadczenia – utraty naszych marzeń. Tak długo byliśmy przekonani, że jesteśmy ludźmi sukcesu, że podobamy się innym, że jesteśmy kochani głęboką miłością. Marzyliśmy o życiu pełnym służby i poświęcenia dla innych. Pragnęliśmy stać

się ludźmi przebaczącymi, troszczącymi się o drugich i zawsze pełnymi życzliwości. Myśleliśmy o sobie, że wnosimy ducha pojednania i pokój. Tymczasem – sami nie wiemy, kiedy to się stało – utraciliśmy nasze marzenia. Staliśmy się drażliwymi, lęklivymi ludźmi trzymającymi się kurczowo kilku rzeczy, jakie udało się nam zebrać, dzielącymi się z innymi codziennymi skandalami z życia politycznego, społecznego czy kościelnego. To jest owa utrata ducha, do której często jest nam najtrudniej się przyznać.

Ale oprócz tych wszystkich rzeczy tracimy wiarę – tracimy przekonanie, że nasze życie ma sens. Przez pewien czas dajemy sobie jakoś radę z tymi stratami, a nawet udaje się nam z nimi żyć, gdyż przeżywamy je jako okazje zbliżenia się do Boga. Ból i cierpienie związane z życiem można znieść, ponieważ przeżywamy je jako rodzaj testu siły naszej woli i głębi naszych przekonań. Niemniej jednak w miarę starzenia się odkrywamy, że to, co pomagało nam przez lata – modlitwa, liturgia, sakramenty, życie wspólnotowe i wyraźne rozpoznanie

towarzyszającej nam miłości Boga – utraciło dla nas swoje znaczenie. Długotrwałe pielęgnowane przekonania, wieloletnia dyscyplina i przyzwyczajenie celebrowania życia nie rozgrzewają już naszych serc i nie rozumiemy już dłużej, dlaczego i w jaki sposób można to wszystko uzasadnić. Pamiętamy czasy, kiedy Jezus był dla nas tak bardzo prawdziwy, że nie stawialiśmy sobie pytań o Jego rzeczywistą obecność w naszym życiu. Był On dla nas najbliższym przyjacielem, naszym pocieszycielem i przewodnikiem. Dodał nam otuchy i odwagi, był źródłem zaufania. Mogliśmy Go odczuwać, tak – wręcz smakować i dotykać Go. A teraz? Tak naprawdę nie myślimy o Nim wiele, nie pragniemy spędzać przy Nim wielu godzin. Nie odczuwamy w sposób szczególny Jego obecności. Wręcz zastanawiamy się, czy jest On kimś więcej niż jakąś postacią z kart powieści. Wielu naszych przyjaciół wyśmiewa Go, szydzi z Jego imienia, albo po prostu lekceważy Go. Stopniowo dochodzimy do przekonania, że i dla nas stał się On kimś, kogo utraciliśmy – osobą obcą.

Nie chcę sugerować, że to wszystko dotknęło każdego z nas. Ale gdy przebywamy z sobą i słuchamy siebie nawzajem, to szybko odkrywamy, że wiele, jeśli nie większość z tych strat jest częścią naszej życiowej wędrówki, naszej albo naszych towarzyszy podróży.

Jak się zachować wobec tych strat? Jest to pierwsze pytanie, na które musimy odpowiedzieć. Czy nie ukrywamy ich? Czy nie próbujemy żyć tak, jakby to nie były prawdziwe straty? Czy potrafimy dzielić się naszymi stratami z osobami bliskimi? Czy nie próbujemy przekonywać siebie i innych, że tak naprawdę to nasze straty są niewielkie w porównaniu z naszymi zyskami? Czy nie staramy się obwiniać innych? Przeważnie czynimy wszystkie te rzeczy po trochu, istnieje jednak inna możliwość: opłakiwanie naszych strat. Tak, powinniśmy opłakiwać nasze straty. Nie możemy się zachowywać tak, jakby ich nie było, ale możemy płakać z żalu za nimi. Pozwoli to ujawnić się naszym uczuciom pewności i bezpieczeństwa i doprowadzi do bolesnej prawdy o naszej

słabości. Żal pozwoli nam doświadczyć odchłani naszego własnego życia, w którym nic nie jest ustalone, jasne czy oczywiste, w którym wszystko nieustannie się zmienia.

Kiedy odczuwamy ból z powodu naszych strat, nasze skrzywdzone serca otwierają nasze wewnętrzne oczy na inny świat, w którym cierpienie z powodu strat przekracza nasz własny mały świat rodziny, przyjaciół i kolegów. Jest to świat więźniów, uciekinierów, chorych na AIDS, głodujących dzieci, nieskończonej liczby ludzi żyjących w ciągłym strachu. Wówczas ból naszych płaczących serc łączy nas z płaczem i jękiem cierpiącej ludzkości. Wtedy nasz żal staje się większy od nas samych.

Ale pośród tych wszystkich cierpień pojawia się dziwny, szokujący i niespodziewany głos. Jest to głos Kogoś, kto mówi: „Błogosławieni, którzy płaczą, gdyż oni będą pocieszeni” (por. Mt 5,4). Jest to owa nieoczekiwana wiadomość: w naszym żalu jest ukryte błogosławieństwo. Nie ci, którzy pocieszają, są błogosławieni, ale ci, którzy płaczą! W jakiś sposób

pośród naszych łez jest ukryty dar. W jakiś sposób pośród naszego żalu zaczyna się pierwszy krok tańca. W jakiś sposób szloch z powodu naszych strat należy do naszej pieśni pełnej wdzięczności.

Przychodzimy na Eucharystię z sercem złamanym wieloma stratami, nie tylko własnymi. Podobnie jak dwaj uczniowie idący do swojego domu mówimy: „A myśmy się spodziewali... ale utraciliśmy nadzieję. Na jej miejsce przyszły tortury i śmierć”. Nie patrzymy już do góry ani przed siebie, ale ze zwieszonymi głowami wpatrujemy się w ziemię.

Tak właśnie rozpoczyna się wędrówka. Pytanie brzmi: czy nasze straty wywołują w nas uczucie rozgoryczenia czy wdzięczność? Rozżalenie jest bardzo realnym wyborem. Wielu ludzi je wybiera. Seria strat łatwo wywołuje rozczarowanie, złość, zgorzknienie i coraz większe rozżalenie. Im bardziej się starzejemy, tym mocniej odczuwamy pokusę, by powiedzieć: „Życie mnie oszukało. Nie ma dla mnie przyszłości, nie ma żadnej nadziei. Jedyne, co mi pozostało,

to bronić tej reszty, która mi pozostała, przynajmniej nie stracę wszystkiego”.

Rozżalenie jest jedną z najbardziej niszczących sił w naszym życiu. Zimny gniew opanował całą istotę naszego bytu i sprawił, że nasze serca stały się zatwardziałe. Rozżalenie tak dalece może stać się sposobem życia, że przenika serca i uczynki, a my nie zdajemy sobie już z tego sprawy.

Często zastanawiam się, jak by wyglądało moje życie, gdyby w moim sercu nie było w ogóle rozżalenia. Tak bardzo przywykłem mówić o ludziach, których nie lubię, rozmyślać nad wydarzeniami, które przysporzyły mi cierpienia, albo zachowywać się podejrzliwie i kierować się lękiem, że już nie wiem, jak by to było, gdybym niczego nie żałował albo gdybym nie miał się kogo czepiać! W moim sercu jest ciągle wiele zakamarków skrywających rozgoryczenie, i zastanawiam się, czy rzeczywiście chcę się od niego uwolnić. Cóż bym począł bez niego? Poza tym było wiele chwil w moim życiu, w których miałem okazję je wzmocnić. Już przed śniadaniem ogarniały

mnie liczne uczucia podejrzliwości, zazdrości, różne myśli dotyczące osób, których pragnąłem uniknąć. Snułem też wiele małych planów, by w sposób rozważny przeżyć swój dzień.

Zastanawiam się, czy istnieją ludzie nieżywiący uczuć rozżalenia. Rozżalenie jest przecież tak bardzo oczywistą odpowiedzią na nasze rozliczne utraty. Tragedia polega na tym, że tak wiele rozżalenia jest ukryte wewnątrz samego Kościoła. Jest to jeden z najbardziej paraliżujących aspektów życia chrześcijańskiej wspólnoty.

A jednak Eucharystia pokazuje alternatywę. Jest to możliwość wyboru nie rozżalenia, ale wdzięczności. Opłakiwanie naszych strat jest pierwszym krokiem oddalającym rozżalenie i prowadzącym ku wdzięczności. Łzy gorzkie mogą skruszyć twardość naszych serc i otworzyć nas na możliwość powiedzenia „dziękuję”.